Nr 37. Kraków, 12 Września 1891. Rok I.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya ul. Szewska Nr. 15.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

O gospodarności w obrębie gminy

opowiedział

Kazimierz Langie.

XI. Janek arendarzem.

Janek przeniósł się ze dworu do ojcowskiej chałupy, w której zaraz podłogę z tarcic dał, okna powiększył, ściany pobielił, komin zmurował i piec oszczędny postawił. Sąsiedzi szydzili zrazu, że Janek w pana się bawi — ale jak zobaczyli, że odzież pańską zrzucił, a w kapotę z sukna grubego i krojem ojczystym się odział, zawstydzeni umilkli. Miał on jednak kapotę i drugą, skrojoną tak samo jak tamta, ale z cieńszego sukna, od święta i od zabawy. Kapotę tę lepszą nadziewał zawsze na siebie, gdy do kościoła szedł, albo na plebanię do proboszcza, albo do dworu, albo do miasteczka — bo powiadał, że nieprzyjemnie jest gnój wąchać tym ludziom, co sami około gnoju robić niezwyczajni.

Do dworu zaglądał Janek często, a przyjmowano go tam zawsze pomimo zmiany stroju tak samo życzliwie jak dawniej — nawet pochwaliły mu panie tę zmianę, gdy się dowiedziały, że spełnił w tem wolę ojcowską.

Pan Kazimierz często sam go do siebie zapraszał, by się z nim znowu o czem naradzić, lub po dawnemu zabawić się rozmową. Razu jednego tak go Janek zagadnął:

„Za kwartał kończy się Jankielowi kontrakt na propinacyę. Co dalej robić z nią zamierzasz?“

„A wydzierżawię mu ją nadal — odpowie dziedzic. Dobry żyd, wypłaca się regularnie, nie mam powodu mu karczmy odbierać“.

„Dobry on dla ciebie — mówi Janek — ale niedobry dla ludzi we wsi, których do pijaństwa zachęca, w próżniactwie dawnem utwierdza, dobrodzieja ich udaje, a jednak lichwą obdziera; boję się bardzo, że za lat kilka połowę gruntów wiejskich wykupi“.

„A bo czegóż mu wierzą, jeżeli ich na złe namawia?“ obruszy się dziedzic.

A Janek na to: „Bo już taka natura ludzka, że uwierzą zawsze prędzej temu, kto pochlebia, i do lenistwa podmawia, aniżeli temu, ktoby ich do roboty napędzał“.

„Więc dlatego karczma ma mi stać próżno i dochód z propinacyi mam stracić?“

„Nie, dochodu nie stracisz i karczma próżno stać ci nie będzie. Ja ją wezmę od ciebie w dzierżawę i zapłacę ci to samo co żyd“.

„A tobież tego na co? Czy ci się w głowie przewróciło? Alboż ty umiesz wódkę szynkować? Ty nie potrafisz tak jak Jankiel interesów robić, nie wybierzesz ani połowy tych pieniędzy, które mnie płacić przyrzekasz. Ty stracisz na tej dzierżawie, a ja nie chcę, żebyś na interesie ze mną był stratny“.

„Mój Kaziu — odrzecze Janek — jeżeli arendarz twój dzisiejszy wybiera z krzywdą ludzką te pieniądze, które tobie oddaje, toś ty ich brać od niego nie powinien. Ale ja wiem, że tak nie jest. Tyle, ile czynsz wynosi, można handlem trunków i innych rzeczy w tak ludnej wsi bardzo uczciwym sposobem zarobić. A tem, co nieuczciwie Jankiel od ludzi wyłudza, wzbogaca się on sam. Przypomnij sobie, że biednym łapserdakiem przyszedł on tu za twojego ojca, a dzisiaj już dwa grunty na licytacyi kupił i pieniędzy po ludziach porozpożyczanych ma tyle, że jeszcze na 10 gruntów by starczyło. Czemże zbogacił on się tak, jeżeli nie ciężką tych biednych ludzi krwawicą, których do próżniactwa, a robienia długów podmawia. Ja zysków na karczmie nie szukam, ale też mam nadzieję, że nie stracę. A dopóki karczmy w swem ręku nie mam, dopóty wszystkie moje chęci najlepsze są na nic, dopóty nie potrafię w niczem ulżyć biedzie wioskowej i nawrócić tych ludzi“.

„To ty zawsze jeszcze do myśli swoich powracasz? Zawsze jeszcze w to wierzysz, że zamiary dawne

ci się udadzą? Ja myślałem, że obojętność, z jaką się u gospodarzy tutejszych spotkałeś, ostudziła cię już i wyleczyła z tej mrzonki".

„To nie mrzonka mój drogi, odpowie Janek: To myśl, którą za cel życia postawiłem sobie. To myśl, która od lat kilku cały umysł mój opanowała, a będę wszystkich sposobów próbował, które do tego celu doprowadzić mnie mogą. My zacznijmy tylko, resztę Bóg za nas zrobi".

„Więc jak karczmę będziesz miał, to sądzisz, że ci się uda przerobić ludzi?"

„Czy przerobić nie wiem, ale nauczyć ich będę mógł wiele. Z początku nie po naukę, to po wódkę, będą sami do mnie przychodzili. Potem gdy w wiadomościach nowych się rozciekawią, to przychodzić zaczną dla nich samych. A jak oświecą się, to i poprawią się z czasem. W innych wsiach słyszę, że panowie już i żydków uczciwych takich powynajdywali, co biorąc karczmy w arendy podpisali się na to: że nigdy nikogo do picia namawiać nie będą, że wódki nikomu nie dadzą na kredyt, że nie dopuszczą, by się który gospodarz w karczmie upił, że nikogo na miarze ani na pieniądzach nie oszukają. Na to wszystko podpisał się żydek taki i karę za każde niedotrzymanie do kasy gromadzkiej miał płacić — a jak wódki da komu na kredyt, to już upominać mu się zapłaty za nią nie wolno. To bardzo dobre by było, gdyby i u nas żydek rzetelny taki się znalazł, ale że w naszej wsi takiego niema — więc ja go muszę zastąpić".

„I jakże, i sam będziesz wódkę szynkował?"

„Nie, bo na to ciągle czasu bym nie miał. Mam krewniaczkę niemłodą, ubogą, ale rzetelną i roztargnioną kobietę. Tę bym na karczmie osadził, a od wszystkiego co sprzeda, dwudziesty grosz jej oddam".

„Jak to od wszystkiego? To tam będzie co więcej oprócz wódki do sprzedawania?

„Zobaczysz później, co tam będzie. Ale to cię zapewniam, że jak ci szynk tam wystroję, to i ty i ksiądz proboszcz nie będziecie się wstydzili wstąpić czasem do niego".

„I to wszystko dla dobra ludu naszego we wsi?"

„A tak! dla umoralnienia i dla oświecenia tego ludu, dla wydobycia go z nędzy, w jakiej dzisiaj żyje, dla zrobienia go bogatym".

„Kiedy tak, to ja idę z tobę bracie do spółki. Zysk, jaki na handlu zdobędziemy, daruję co roku gminie, ale straty, gdybyś miał jakie, podzielę chętnie do połowy z tobą". *(C. d. n.)*

Korespondencya „Krakusa".

Z Pragi czeskiej.

Pobratymczy nam naród czeski, jak to już czytelnikom wiadomo, w stolicy swego kraju, Pradze, urządził w tym roku wielką wystawę tego, co ma, co umie, czego się dorobił, a czem się słusznie i pochwalić może.

Każda wystawa urządzana przez naród ma dwojakie znaczenie: pierwsze więc aby pokazać swoim i obcym, czego się już kraj dorobił, do jakiej doszedł doskonałości i oświaty, a powtóre, żeby ci, co wśród narodu pod jakimkolwiek względem w tyle za innymi zostali, na wystawie nauczyli się, jak powinni za innymi podążać w doskonaleniu umysłu swego, w doskonaleniu rzemiosł, rolnictwa i tego wogóle wszystkiego, co dobrobyt ludziom zapewnia.

Pan Grzegórz.

Opowiadanie podróżnego Węgra.

(Ciąg dalszy).

W nocy nie mogłem jakoś zasnąć, a nic to nie było dziwnego, gdyż całe popołudnie chrapałem. Chciałem sobie koniecznie przypomnieć rysy Esterki, i zawsze kiedym złożył rys po rysie tę prześliczną twarzyczkę, tyle razy twarz ta zamieniała się w bezzębną paszczę pani Małgorzaty.

Około północy przyszły pod nasze okno wszystkie koty ze wsi; piszczały, stękały, miauczały tak przeraźliwie, że można było od tego oszaleć.

Przez chwilę słuchałem ich cierpliwie, oczekując, żeby jak najprędzej się wyniosły, ale kiedy przekonałem się, że się na to nie zanosi, wstałem cicho z łóżka i znalazłszy w kuchni motowidło, podsunąłem się cichuteńko pomiędzy nie, właśnie w chwili gdy najpiękniej miauczały — cisnąłem raptem pomiędzy nie motowidłem — aż strach pomyśleć, jakie to miało skutki.

O nie przyszły one już więcej wyprawiać wesela pod mojem oknem.

Ale wstawszy rano — ażem struchlał, zobaczywszy co się stało.

Wszedł do mej stancyjki ojciec w swojej lisiurce i czarnej rogatywce.

— No chłopcze! patrz teraz, coś zrobił; żeby cię... zabiłeś widać w nocy starą kotkę pani Małgorzaty.

— Mój Boże! co za nieszczęście, zawołałem — czy w niej już nie zostało ani trochę życia?

— Zdechła podług wszelkich praw natury — powiedział poważnie mój ojciec, ukazując to wielkie, tłuste zwierzątko, którego zęby wyszczerzone na mnie bielały.

Czesi przez urządzenie tegorocznej wystawy swojej więcej coś jeszcze zyskali dla siebie. Oto więc przedewszystkiem pokazali oni światu całemu, że w ciągu ostatnich stu lat Czechy dzisiejsze odróżniły się od dawnych tak, jak niebo jest różne a dalekie od ziemi; jeżeli przed stu laty mieli na wystawie drewniane, licho orzące pługi, to dziś wszędzie już mają jak najbardziej udoskonalone narzędzia rolnicze; jeżeli przed stu laty na odbytej wtedy wystawie widziano chatę włościańską malutką, w ziemię jakoby wgniecioną, ciasną, duszną, to dziś widzi się tu domy włościańskie duże, murowane, widne, jasne.

Czesi, wystąpiwszy odświętnie na wystawie obecnej z niezmiernie udoskonalonemi wyrobami, przemysłem, rolnictwem i oświatą wysoką, pokazali sobie i światu, co może zrobić praca i wytrwałość.

Znałem Czechów z ich pracowitości i oświaty; wiedziałem, że w ciągu ostatnich, nie stu nawet, ale pięćdziesięciu lat cudu niemal dokazali, zabiegając około podniesienia dobrobytu, przez ulepszenie gospodarstwa rolnego, przemysłu i handlu. Pewny też byłem, że naród ten uczyni swą wystawę pouczającą nie dla jednego; dlatego też pojechałem do Pragi. I doprawdy nie żałuję tego. A i czytelnicy napewno mile przyjmą niniejsze moje pisanie, boć już z *Krakusa* o Czechach dowiedzieli się sporo.

Na początku zaznaczyć mi tylko wypada zachowanie się samych Czechów względem tej wystawy. Otóż przedewszystkiem wszyscy Czesi uważają ją wobec siebie, a szczególniej wobec obcych, niejako za popis i to popis taki, który chlubę i chwałę przynosi narodowi. Widocznem też jest, że Czesi dumni są z tego i słusznie.

Wszyscy Czesi starają się na tej wystawie jedni od drugich nauczyć się czegoś. Każdy zatem szuka przedmiotów swego zawodu, szuka wzorów dla siebie, aby swój zawód, swój fach mógł potem udoskonalić, ulepszyć. Widziałem tu więc, jak rzemieślnicy czescy żywo a z zajęciem rozprawiali z sobą, stojąc przy wyrobach rzemieślniczych; widziałem, jak gospodarze rolni rozmawiali z zastanowieniem o nawodnianiu łąk, stojąc przy zrobionym sztucznie wzorze, jak to łąki mogą być z łatwością nawodnione.

I jedni przecież i drudzy nie tyle mię zadziwili, jak to, gdy wyszedłszy z jednego budynku wystawowego, na schodach zobaczyłem całą gromadę, może z 50 osób liczącą, ludzi, wyjmujących z koszów ser, chleb i masło. Otóż posilali się włościanie czescy, przybyli na wystawę z dalekich okolic. Z poszanowaniem spoglądałem na tych czeskich włościan, którzy przybyli na wystawę nauczyć się rolnictwa, gospodarstwa nabiałowego, przemysłu domowego i t. d. Zacząłem też patrzeć za nimi, ciekawym będąc, jak też się oni będą wszystkiemu przyglądali. I cóż? uwaga ich przy oglądaniu wszystkiego, zastanawianie się i robienie wniosków pouczających dla siebie — podobały mi się bardzo. Jedna naprzykład kobieta wiejska, co chodziła zakasawszy wysoko do góry wierzchnią swą odświętną suknię, żeby jej się nie zakurzyła, zrobiła swemu synowi uwagę taką: „Patrzże chłopcze, ta wiklina lepsza jest jak nasza, z naszej też nie mogą być takie koszyki, jak te, które tu widzisz“. Powiedziawszy to, spytała zaraz obok siedzącego człowieka: co to za gatunek tej wikliny i na jakim gruncie rośnie wiklina najlepsza. A dostawszy na to odpowiedź, rzekła znów do synka: „Sprowadzimy sobie, chłopcze, ten gatunek wikliny, bo z niej ładniejsze są kosze, więc i drożej będzie można je sprzedawać“.

W dalszym znów ciągu, jak owi włościanie, niezmiernie przyjemnie zadziwiły mię dzieci ze szkół wiej-

---

Skrobałem się zakłopotany po głowie — co tu począć? — jeżeli się dowie, że ja ją zabiłem, to może mnie samego zamieni w swoją burą kotkę, może mnie zgładzi ze świata, że już nigdy Esterki nie dostanę!

O! bodajem był nigdy nie widział jej kotki!

— Niech mi ojciec zostawi tego nieszczęsnego kota — powiedziałem — bo w tej chwili przyszła mi nowa myśl do głowy, spróbuję zaprzyjaźnić się z naszą dobrą sąsiadką.

Ojciec pokręcił głową, ruszył ramionami, a położywszy na stole zabitą kotkę — wyszedł.

Wziąłem martwe stworzenie, pięknie je ułożyłem w chusteczkę, a zebrawszy jej cztery końce, poszedłem do naszych sąsiadów.

Przyszedłszy pod bramę, słyszę, jak charty ujadają na włóczącego się żyda, w jego spodniach nankinowych zostawiły już sześć dziur na pamiątkę — żyd krzyczał — skakał — rzucał się! aż miło było patrzeć!

Było to wielkie dla mnie szczęście, bo inaczej charty do mnie by się były obróciły — a uciekać przed psami pana Grzegorza, to możnaby i głową przypłacić.

Tym sposobem, nie doznawszy żadnego przypadku, dostałem się do kuchni — na kominie pali się ogień — a z garnka wygląda widać ogon wieprzowy — przesunąłem się przez kuchnię, aż do drzwi pokoju Małgorzaty i pokornie w nie zastukałem.

— Kto tam? odezwał się głos, podobny do dźwięku garnka rozbitego, kiedy w niego kto uderza.

Otworzyłem drzwi.

Pani Małgorzata siedziała u pamiętnego okna, a obróciwszy do mnie swój nos, patrzyła na mnie przez okulary; włosy jej (to jest Bóg wie czyje włosy) były splecione w warkocz, a z tyłu wielkim grzebieniem umocowane — dziobów miała na twarzy, ile się tylko pomieścić mogło, a skóra jej miała barwę pergaminu.

U drugiego okna siedziała — mój brylant, moja

skich. Gdym zobaczył tu całe szeregi chłopców i dziewcząt, jak pod wodzą swoich nauczycieli oglądali całą wystawę, pomyślałem sobie: Co za mądry naród owi Czesi! Dziatkom swym każą się przyglądać wszystkiemu, co w gospodarstwie kraju jest i powinno być ulepszone dla pożytku ludzi, a to żeby te dzieci wiedziały, dlaczego się mają i w dzieciństwie i w wieku dojrzałym uczyć. Gdym te dzieci, tych przyszłych Czechów zobaczył, to aż mi się przykro na sercu zrobiło. Bo u nas starzy unikają oświaty i doskonalszych sposobów w prowadzeniu rolnictwa i przemysłu, a Czesi dzieci swe z dalekich nawet okolic zwożą do takiej szkoły, jaką jest wystawa. Szczęśliwy to naród, że tak rozumnie myśli o sobie i przyszłości swych dzieci.

Zaznaczyć tu muszę, że zamożniejsi rodzice własnym kosztem przysyłali tu swe dzieci, a uboższe bywają przysyłane kosztem składek zamożniejszych. Zamożniejsi nie żałują w tym razie ofiar, bo wiedzą, że Czechom wszystkim wtedy dopiero będzie dobrze, gdy *wszyscy* będą światli. To też tu wszystkim dopomagają w doskonaleniu się i oświecaniu.

Gdy pierwszego dnia, zmęczony ciągłem oglądaniem mnóstwa wystawionych rzeczy, wracałem do domu, pomyślałem sobie: ot, pewno dziś z parę tysięcy ludzi zwiedziło tę wystawę razem ze mną! Omyliłem się przecież, bo nie na setki, ale na tysiące trzeba było gości liczyć, Dnia tego wykupiło biletów wejścia, a więc i było na wystawie 18 tysięcy i 86 ludzi!... To zaś zaznaczyć muszę, że jeśli spotykam większe nieco gromadki ludzi, oglądających ową wystawę — to są to włościanie czescy.

Dnia drugiego cały znów dzień od rana do późnego wieczoru siedziałem na wystawie, a zwiedziłem tylko chatę czeską ze zwykłemi sprzętami, narzędziami i strojami domowemi Czechów, oraz dział ich gospodarstwa polnego. Dwa tylko te działy zwiedziłem w ciągu całego dnia! Ale bo też jest tu co oglądać! W chacie czeskiej to jeszcze nie tyle było tu dla mnie ciekawych a właściwie zdumiewających rzeczy. Strój bowiem Czechów, narzędzia ich domowe, ozdoby na sprzętach, skrzyniach, szafach lub odzieży są prawie podobne do naszych. I nie dziw. Czesi, jako naród słowiański, więc nam pobratymczy, w obyczajach swoich mają wiele wspólnego z nami. Pieśni ich nawet śpiewane są na podobną do naszej nutę.

O ile przecież w chacie czeskiej, na placu wystawowym dla wzoru zbudowanej, zauważyłem pewne podobieństwo do naszej chaty wiejskiej, o tyle uderzyła mnie olbrzymia, nadzwyczaj wielka różnica, pomiędzy naszą a czeską gospodarką rolną.

W budynku, przeznaczonym dla gospodarstw rolnych, znalazłem tylko gospodarstwa rolne chłopskie, bo szlachta dla swych gospodarstw osobne postawiła na wystawie budynki.

I cóż więc wystawili gospodarze rolni ziemi czeskiej? Otóż w liście niniejszym wyliczę tylko, com tu wogóle znalazł.

Oprócz więc prób wszelkiego gatunku zboża, nasion, traw, słomy, owoców, suszów, na każdym stole lub przy nim na ścianie wisiały mapy pomiarowe (czyli karty geograficzne) gruntów, przedstawiające gatunek gleby i podglebia każdej miejscowości, mapy wilgotności, mapy wskazujące: gdzie jakie najlepiej udają się rośliny, gdzie jakim trudnią się przemysłem i inne podobne rzeczy. Obok zaś tych map stoją tu znów szklanne banie, a w nich: każdy gatunek roli, jako okaz, potem rozbiór tej roli, wskazujący: ile w niej jest próchnicy, ile wapna, ile krzemionki, jak prędko i jakiem

---

Esterka! i szyła. Przed oknem był ogromny krzak agrestu.

Kiedy tylko wszedłem, zaczerwieniła się po ramiona, ale tegom się więcej dorozumiewał, bo oczy spuściła na robotę, a na mnie ani spojrzała.

— No! — cóżeś tam przyniósł? — tak przyjęła mnie dobra pani Małgorzata.

Poszedłem do niej samej — a uchwyciwszy jej kościstą, żółtą rękę, przycisnąłem do ust — bry! od tej chwili nie mogę jeść wcale rosołu.

— Co chciałeś!?

— O najmilsza Imość, pani mnie widać nie poznajesz? — prawda? — widać, żem porządnie wyrósł, przecież ja jestem ten mały Piotruś, co tylokrotnie nosiłem Imości młode gołąbki, czy sobie Imość nie przypomina?

— Tak! — coś tyle razy rozbił kamieniem nasze okna! — o tak tęgo wyrosłeś, a teraz znowu zwaliłeś się na kark swojemu ojcu.

— Jak też Imość pięknie jeszcze wygląda — a to dalibóg jak dwudziesto-letnia dziewczyna (jeżeli za nic, to już za to samo powinna mnie była wygnać).

— Wierz mi mój chłopcze — byłam ja kiedyś bardzo ładna — umywałam się co wieczór ciepłem mlekiem, od tego to moja skóra na twarzy stała się tak delikatna — jeszcze tego i teraz na mnie można się dopatrzeć. Oj! nie wyrosło w całym kraju piękniejsze dziewczę, jak ja byłam za młodych lat — pamięta to jeszcze twój ojciec, tylko go się zapytaj (co u licha — kiedy ty byłaś młodą, to pewno się jeszcze ten ksiądz nie urodził, co chrzcił mojego ojca, pomyślałem sobie, alem tego nie powiedział).

— Ale już od roku może dużo straciłam z mojej piękności. (Boże odpuść jej, bo ona zapewne pół stulecia nazywa rokiem.) Oj! tak to bywa! — nic na świe-

działaniem rola ta rozkłada się na użyteczne dla roślin cząsteczki i pożywienie. Następnie w innych słojach znalazłem tu taki sam rozbiór wszelkich nawozów: było tu więc obliczenie, ile w takim lub owakim nawozie jest takich lub owakich cząsteczek pożywnych, jak i z jakiemi cząstkami roli te lub owe cząstki nawozu łączą się najlepiej, aby się stały jak najużyteczniejszemi dla posianych roślin. Nareszcie wpośród owych chłopskich gospodarstw znalazłem wystawione młynki do mielenia kości na nawóz. Dalej stał jęczmień browarny obok wyrobionego już z niego słodu. A znów obok tego stał model słodowni i szczegółowe jej rachunki za każdy rok. Jeszcze nie skończyłem przyglądania się temu, a już zwróciła moją uwagę cukrownia i jej rachunki, pokazujące ilości wyrobionego cukru, oraz gorzelnia, która z odpadków cukru, wódkę robi.

Jakto, — zapytałem pewnego Czecha, który tuż obok mnie szedł — i to są chłopskie gospodarstwa? To chłopi wasi robią rozbiory chemiczne ziemi swej i nawozów, żeby się dowiadywać, jaką należy do tej lub owej roli zastosować uprawę, jaki nawóz, orkę i tak dalej, iżby zapewnić się, że taż rola pożądany wyda plon? Wasiż to chłopi — pytam — układają podobne mapy, mają takie młynki do mielenia kości, takie cukrownie, słodownie, chmielarnie, gorzelnie? Wasiż to robią chłopi? Chybaście panowie Czesi zakpili ze świata, udając, że to wszystko — to chłopska praca?

Takem zagadnął owego Czecha, a on, spokojnie mnie wysłuchawszy, rzekł:

— Otóż mój Panie Polaku, są to istotnie prace chłopów naszych. I rozmawiacie też teraz z chłopem. I ja jestem Czech i ja jestem chłop.

Istotnie, gdym dłużej z owym chłopem czeskim pomówił, gdym obszedł z nim niektóre działy gospodarstwa rolnego, gdym się dowiedział o gospodarce społecznej Czechów coś więcej — tom już wierzył, że to, co widzę, jest prawdziwie dziełem rąk, pracy i oświaty chłopów czeskich i pomyślałem sobie: Chwała ludowi, który taką oświatą i pracą poszczycić się może.

A pomyślałem to tem więcej, o ile lud ten jest obecnie tumaniony przez ludzi, częścią niedojrzałych, a częścią przewrotnych. *Krakus* nieraz pisał o tem, że w Czechach są dwa stronnictwa: Staroczechów i Młodoczechów. Staroczesi przez wiele lat stali na czele ludu czeskiego, a wystawa jest najlepszym dowodem, do czego doprowadzili. Ale przyszli inni i dalejże na nich z krzykiem: „Wy już starzy, wy mało o kraj dbacie — my to lepiej zrobimy“. I jak zaczęli kłamstwami lud uwodzić, tak ten dał wiarę niesumiennym pyszałkom i wybrał ich przeważnie na posłów. Wina tu była i samych Staroczechów, bo zamiast mężnie walczyć i prawdy swej bronić, przestraszyli się, słabo się bronili, chcieli wchodzić w układy z tymi Młodoczechami i przyspieszyli tem swój upadek. A tymczasem pokazało się, że ci Młodoczesi to tylko krzykacze. W Radzie państwa narobili tylko hałasu, odzywali się z przyjaźnią do Moskali — wstyd, jakie głupstwa mówili. Otóż teraz pomału lud czeski zaczyna rozumieć, jak go krzykacze otumanili i jest nadzieja, że im nie da sobą rządzić. Tem więcej więc lud ten szanować należy, że choć dostał złych przewodników, to pracuje jak dawniej i da Bóg, pozbędzie się ludzi, co go chcieli prowadzić na manowce. Tego ludowi czeskiemu szczerze życzyć należy, bo szkodliwy robak i najpiękniejszy owoc zepsuć może. I dla nas w tem wielka nauka, abyśmy nie dali przystępu do siebie krzykaczom, boć my biedniejsi i słabsi, to i prędzej przez złych ludzi szkodę ponieść moglibyśmy.

---

cie stałego, wszystko zginie; ale pocóż tu przyszedłeś? jeszcześ mi nie powiedział.

Przez ten czas przysunąłem się cokolwiek bliżej do Esterki; widziałem, że już dwa razy podniosła na mnie ukradkiem swe oczy, a teraz sobie nos ucierała.

— Esterko — zawołała porywczym głosem — idź i zobacz, czy przyszli najemnicy.

Esterka wstała i wyszła.

(Bodajeś sobie wyłamała wszystkie zęby! brząknąłem pod nosem; niewinniejszym sposobem nie mogłem chyba jej zakląć, bo nie miała ani jednego.)

— No cóż tam tedy masz? powiedz odrazu, bo u nas nie można tracić czasu — dużo jest roboty, nie tak jak u was.

— Tedy — najmilsza moja Imość; muszę powiedzieć, że człowiek nie może się uchronić, żeby na niego nie spadło jakie nieszczęcie, ale trzeba pamiętać, że każdym naszym krokiem włada ręka Pańska. Przeto niech każdy siedzi w domu — w domu rzadko przychodzi do człowieka nieszczęście. Ale człowiek nie myśli czasem, jakie na niego nieszczęście spadnie; Bóg nas doświadcza moja Imość. Imość masz kotkę i my także.

— Tak, ale moja jest piękniejsza.

— Rzeczywista prawda, Imości kotka wszystkie zakasuje — ona czasem przychodzi do naszej kotki, a nasza do was.

— Wiem o tem dobrze, nieraz nam pożarła serki i słoninę; moja tam nie chodzi do was, ma ona dosyć w domu co jeść.

— Ach! bodaj to zawsze tak robiła!

W tej chwili otworzyły się drzwi i weszła Esterka.

— Skocz no Esterko (zawołała wiedźma), a zobacz, czy jadły młode kaczki?

(Niechaj cię licho porwie, stary koczkodanie — pomyślałem sobie, ale tego nie rzekłem.)

Wiadomości polityczne.

Ziemie polskie.

Pisaliśmy już w zeszłym *Krakusie* o tem, że katolicy niemieccy zebrali się na wiec w Gdańsku, wielkiem mieście handlowem nad Morzem Baltyckiem, które, choć zniemczałe, aż do ostatnich czasów należało do Polski i leży też na naszej ziemi wśród ludności mówiącej po polsku. W tym wiecu wzięło udział bardzo wielu Polaków, dla których nawet osobne urządzono posiedzenie.

Wszystkie uchwały wiecu naturalnie miały na celu popierać sprawy katolickie w Niemczech. Więc najprzód wiec uchwalił żądać, ażeby zniesiono przepisy o zakonach i stowarzyszeniach katolickich, jakie zostały zaprowadzone przez Bismarka. Dalej wiec polecił wszystkim katolikom cesarstwa niemieckiego zakładanie nowych szkół katolickich i popieranie budowy kościołów katolickich w Berlinie i Hamburgu, gdzie znajduje się wielka liczba katolików nie mających dostatecznej ilości świątyń. Wiec podziękował najuniżeniej Ojcu świętemu za Jego ostatnią encyklikę o kwestyi robotniczej i przyrzekł uroczyście trzymać się niezachwianie zasad w niej wyrażonych. O innych uchwałach wiecu jużeśmy w przeszłym numerze *Krakusa* wspomnieli.

Na jednem z zebrań wiecu poseł Dr Porsch przedstawiał uchwały sekcyi szkolnej wiecu. Pomiędzy temi uchwałami najważniejszą dla nas była ta, że wiec uznając jedynie prawo Kościoła do udzielania religii, oświadcza zarazem, że nauka religii udzielana być winna we wszystkich stopniach naukowych szkół ludowych w języku ojczystym. Jest to uchwała głównie tycząca się nas Polaków pod zaborem pruskim, którym rząd za czasów Bismarka zabronił nawet religii uczyć w języku polskim.

Członkowie wiecu zebrali się w strzelnicy gdańskiej na ucztę, na której było także wielu Polaków. Jeden z wielkich przywódców katolików niemieckich hr. Ballestrem mówił na tej uczcie o stosunku posłów Polaków w parlamencie niemieckim do stronnictwa katolickiego (tak zwanego *centrum*) i wyraźnie zaznaczył, że posłowie polscy i posłowie *centrum* razem działają w rzeczach Kościoła, i że ci ostatni najzupełniej popierają i uznają żądania Polaków, aby uszanowano ich narodowość.

Na osobnem posiedzeniu wiecu, urządzonem jedynie dla Polaków, przewodniczył zebraniu hr. Hektor Kwilecki, a zastępcą jego był hr. Adam Sierakowski. Czterech było mówców, a każdy prawie z innej prowincyi polskiej pod zaborem pruskim. Obecni na posiedzeniu Niemcy dowiedzieli się z tego, jak daleko sięga polska mowa. Dwóch mówców było z wielkiego Księstwa Poznańskiego, jeden z Górnego Szląska, jeden ze starych Prus, dawniej Książęcemi, obecnie Wschodniemi zwanych. Ten ostatni był to proboszcz i dziekan z Królewca nad Pregłą, nad samem Morzem Baltyckiem. Pierwszy z mowców, adwokat Dziembowski, mówił o szkole i jej potrzebach, zwłaszcza co do nauki religii; drugi ks. Szadowski z Królewca mówił o misyach katolickich; trzeci ks. Chrząszcz z Górnego Szląska wykazał, jak należy walczyć przeciwko szerzeniu zasad przewrotnych; czwarty ks. Hubowicz z Czermina z Prus wschodnich przypominał potrzebę zakładania Towarzystw katolickich. Mieli też zgromadzeni Polacy pomiędzy sobą ks. Biskupa Chełmińskiego, który im słów zachęty w ojczystym ich języku nie szczędził i błogosławieństwa pasterskiego im udzielił.

— Pomyśl tylko, szanowna Imość, że przeszłej nocy stało się, że gdy te niewinne zwierzątka zeszły się i pięknie miauczały, że aż miło było posłuchać, jakiś bezbożny, okrutny, krwi chciwy człowiek, jedno z nich, a to prawie najpiękniejsze, podstępnie uderzył i zabił.

— Dobrze mu zrobił, nie powinny się włóczyć! dobrze zrobił, to był porządny człowiek.

— Szczęście wielkie, że nie zabił naszej kotki, ani zapewne miłej Imości — mówię, otwierając chustkę i wyjmując martwą kotkę, a drżałem cały jak liść.

Och! ani we śnie nie nawet nie zapomnę tego widoku, tego wzroku pełnego wściekłości i zemsty, który mi się w tem mgnieniu oka przedstawił. Tak się okropnie wyląkłem, żem o mało nie skamieniał.

— Moja kotka! krzyknęła i wyrwała mi ją z ręki — moja kotka! powtarzała aż się okna trzęsły; oczy jej iskrzyły się, a usta były pełne piany; byłaby skoczyła jak pantera, gdyby była mogła. Wzięła ją na ręce jak małe dziecko, a patrzała na nią i płakała:

— Pieszczotko moja! pieszczotko moja! — mówiła do niej, otwierając jej oczy; spojrzyj na mnie, pieszczotko moja, przebudź się! Nakoniec położyła ją na stole i nachyliwszy się do niej z załamanemi rękami, wołała:

— Biada mi! biada mi!...

Wtem weszła cicho Esterka i usiadła przy swojej robocie.

Ja tymczasem, nie zważając na lament pani Małgorzaty, przysunąłem się do niej, (do Esterki nie do pani Małgorzaty), a uchwyciwszy jej czerwoną, rozpaloną rękę, nachyliłem się i rzekłem drżącym głosem:

— Prawda! moja dobra Esterko, wy się nie gniewacie na mnie?

— O cóżbym się gniewała? odpowiedziała ta gołąbka i spuściła oczy, a rękę swą cofnęła z mojej.

(C. d. n.)

W Wilnie zbierają Moskale składki na pomnik Murawiewa, który w roku 1863 tysiące Polaków pomordował. Składki zbierają urzędnicy rosyjscy wśród ludności, a nikt prawie od tego się wymawiać nie może, bo wie dobrze, co go czeka w razie odmowy. Kiedy my Polacy stawiamy pomnik Mickiewiczowi za to, że tak ślicznie nawoływał ludzi do miłości Boga i Ojczyzny, Moskale stawiają temu, co mordował ludzi za miłość Boga i Ojczyzny. Z tego samego już widać, jaka jest między nami a Moskalami różnica.

Austrya. Najjaśniejszy Pan bawił przez cały ostatni tydzień na wielkich manewrach pod miastem Schwarzenau w Dolnej Austryi, na lewym brzegu Dunaju. Przybył także na owe manewry cesarz niemiecki Wilhelm i król saski Albert z synem Jerzym. Byli tam również arcyksiążęta: Albrecht, Karol Ludwik i Franciszek Salwator, dalej minister spraw zewnętrznych hr. Kalnoky, minister wojny jen. Bauer, namiestnik Dolnej hr. Kielmansegg i wielu innych.

Ogólna liczba oficerów i żołnierzy, biorących udział w manewrach, wynosiła 76.000 ludzi. Manewry trwały od 3 do 7 września.

Na śniadaniu w Göpfritz Arcyksiążę Albrecht wzniósł toast na cześć obu monarchów, poczem cesarz Wilhelm odpowiedział następującemi słowy: „Wasza ces. wysokości! Z podziękowaniem za słowa waszej ces. wysokości łączę podziękowanie dla JMości Cesarza, iż był łaskaw zaprosić mnie na manewry jednej części jego armii. Napełnia mnie to prawdziwem zadowoleniem, że mogę bawić pośród dzielnych austro-węgierskich wojsk, pośród moich towarzyszy! Wnoszę kielich na pomyślność JMości Cesarza i Arcyksięcia Albrechta, najwyższego wodza armii“.

Cesarz Wilhelm i król saski udzielili wielu jenerałom i oficerom ordery i inne wysokie odznaki.

Dnia 7 września b. r. o godzinie 10 rano skończyły się manewry. Obaj cesarze zebrali około siebie oficerów i mieli przemowy, w których oddawali jak najwyższe pochwały wojsku.

O godzinie 11ej pojechali obadwaj cesarze, król saski i saski książę Jerzy konno w towarzystwie arcyksiążąt i licznej świty do Allensteig. Tutaj pożegnał się cesarz niemiecki z cesarzem austryackim, z królem saskim, z księciem Jerzym i z arcyksiążętami i o godz. 12 odjechał do Monachium.

Niemcy. Pewien dziennik niemiecki donosi, że Bismark z dnia na dzień coraz bardziej upada na siłach i cierpi na rozstrój umysłowy, ma przytem ogromną skłonność do snu. Tak więc zbliża się powoli koniec człowieka, który przez 30 lat prawie trząsł Europą.

Rosya. Przyjaźń rosyjska dla Francuzów nie jest zupełnie bezinteresowną. Wyszniegradzki, rosyjski minister skarbu, postanowił wyzyskać zbliżenie się Rosyi do Francyi i rozpoczął układy o zaciągnięcie we Francyi większej pożyczki. Przed rokiem podobne układy nie doprowadziły do pożądanego rezultatu. Tym razem usiłowania Wyszniegradzkiego ma uwieńczyć pomyślny skutek, gdyż Bank paryski wspólnie z dwoma zakładami kredytowemi ma zająć się pożyczką rosyjską. Bliższe szczegóły o wysokości pożyczki dotąd niewiadome i jakby rozmyślnie utrzymywane są w tajemnicy.

W Besarabii i koło Odessy zgromadzono wojska na manewry, odbyć się mające w Benderze, które potrwają do 12 września.

W guberniach środkowej Rosyi wzmaga się głód coraz bardziej. W gubernii Kazańskiej także głód panuje i podobno mrze kilkanaście osób dziennie.

W *Turcyi* odbyły się wielkie zmiany w ministeryach. Sultan prawie wszystkich ministrów dotychczasowych oddalił, a nowych na ich miejsce zamianował. Zwróciło to naturalnie powszechną uwagę i każdy się pytał: co jest przyczyną takiej nagłej zmiany? Tem więcej sprawa ta zaniepokoiła niektóre mocarstwa europejskie, że jednocześnie z nastaniem nowych ministrów w Turcyi, został między Rosyą a Turcyą zawarty układ, który znosi pod pewnym względem postanowienia traktatów między mocarstwami europejskiemi zawartych. Wiadomo mianowicie, że po wojnie Krymskiej (1853—1855) między warunkami pokoju zawartego z jednej strony przez Francyę, Anglię i Turcyę, a z drugiej strony przez Rosyę, było postanowienie, że nie wolno żadnym wojennym okrętom przepływać przez tak zwaną Cieśninę Dardanelską, która łączy ze sobą Morze Marmora z Morzem Śródziemnem i oddziela w tej stronie Azyę od Europy. Cieśnina ta ma 6 mil długości i z obu stron najeżona jest fortyfikacyami tak, że wbrew woli rządu tureckiego żaden statek nie mógłby przez nią przepłynąć. Ponieważ zaś Morze Marmora przez cieśninę Bosfor łączy się z Morzem Czarnem, przeto ten warunek traktatu paryskiego, o którym wspomnieliśmy, jest bardzo przykry dla Rosyi, bo flota jej wojenna, jaką posiada na Morzu Czarnem, nie może się przedostać na Morze Śródziemne. To postanowienie traktatu paryskiego było później przy każdej sposobności odnawiane, a jeszcze ostatnim razem po wojnie Rosyi z Turcyą w roku 1878, na kongresie berlińskim, gdzie warunki pokoju układano, zastrzeżono ponownie, ażeby żadne statki wojenne przez Dardanele nie przepływały. Mocarstwa europejskie miały w tem mianowicie taki interes, ażeby Rosya nie mogła w razie wojny napaść na posiadłości francuskie, angielskie, oraz innych państw, położonych nad Morzem Śródziemnem. Otóż obecny rząd turecki bez wiadomości państw europejskich zawarł z Rosyą układ, na podstawie którego Turcya zobowiązała się uważać tak zwane *okręty ochotnicze floty ro-*

syjskiej za okręty kupieckie, którym to okrętom kupieckim wolno przepływaćprzez Dardanele.

Wprawdzie Turcya i Rosya mówią, że te okręty ochotnicze przewożą tylko więźniów rosyjskich, a nie są okrętami wojennemi, ale są one tak urządzone, że w każdej chwili w razie wojny mogą odrazu pełnić służbę wojenną. Najwięcej dawniej były interesowane w tem dwa państwa tj. Anglia i Francya i one wówczas na Rosyi wymogły ten warunek. Dzisiaj położenie się zmieniło, gdyż jak to czytelnicy dobrze wiedzą, Francuzi z Moskalami wciąż się całują i ściskają i mówią o wiecznej między sobą przyjaźni, przez nienawiść do Niemców. Z tego powodu Francya nietylko nie będzie żądała dopełnienia warunków traktatu, ale nawet będzie Rosyę i Turcyę w tej sprawie nowej ugody popierała. Zresztą sama ta ugoda rosyjsko turecka nie przestraszałaby bardzo nikogo, gdyby z niej nie było widać, że pomiędzy temi dwoma państwami nastąpiła obecnie zgoda i że jest pomiędzy niemi prawdopodobnie porozumienie na wypadek wojny. Turcya przecież wiedziała o tem dobrze, że żądaniu rosyjskiemu przepuszczania statków ochotniczych mogła odmówić nietylko na podstawie traktatów, ale też i dlatego, że wszystkie mocarstwa musiałyby pod tym względem stanąć w jej obronie. Jeżeli jednak uczyniła to tak znaczne ustępstwo, to zapewne nie uczyniła je zadarmo. Są rozmaite dzienniki, które nawet twierdzą, że Rosya obiecała pomagać Turcyi w razie wojny do wypędzenia wojsk angielskich z Egiptu i do odebrania Bośnii od Austryi. Ile w tem jest prawdy, trudno naturalnie dociec, ale bądź co bądź sprawa ta jest bardzo ważna, bo pokazuje, że Francya z Rosyą zapomocą swojej polityki zaczynają także robić sobie przyjaciół, i że usiłują przeciwko tak zwanemu trójprzymierzu również postawić przymierze państw innych. Z tego powodu jest wielkie niezadowolenie pomiędzy mocarstwami należącemi do trójprzymierza i kto wie, czy ta sprawa napozór tak drobna nie wywoła poważnych następstw. Dlatego to z podejrzeniem wszyscy patrzą na zmianę ministrów w Turcyi, bo przypuszczają, iż dawni ministrowie na ugodę z Rosyą nie byliby przystali i że dlatego sułtan oddalił dawnych ministrów, a mianował takich, którzy są dla Rosyi dobrze usposobieni. Że Moskale mają zwolenników w Turcyi, toć to napozór rzecz dziwna, bo Turcya całą swą potęgę straciła przez Moskali, ale nie jestto dziwnem dla każdego, co pamięta, jak Moskale rozrzucają pieniądze i jak umieją wszędzie złych ludzi za te pieniądze dla siebie kupować.

Turecki minister wojny Ali-Saib zmarł nagle po audyencyi u sułtana, który mu czynił wyrzuty, że pomimo tylu ofiar i kosztów, ponoszonych dla armii, nie można w Turcyi utrzymać bezpieczeństwa publicznego i rabusie wzmagają się coraz bardziej. Prawdopodobnie zgryziony minister zastrzelił się wróciwszy do domu.

Turecki ambasador w Wiedniu Zia-bey został odwołany z Wiednia. Prawdopodobnie będzie zamianowany ministrem spraw wewnętrznych.

Serbia. Rząd serbski zamyśla zwołać na manewry tegoroczne, między miejscowościami Niszem a Pirotem odbyć się mające, 60 tysięcy wojska. Artyleryę serbską mają znacznie pomnożyć, a konnica ma otrzymać w miejsce jednostrzałowych pistoletów sześciostrzałowe rewolwery.

Bułgarya. Według najnowszych wiadomości, Bułgarya skupiła na granicy Serbii i Turcyi wiele wojska i ma zamiar ogłosić swoją niezależność w razie, gdyby sułtan turecki nie chciał uznać księcia Ferdynanda prawowitym władcą Bułgaryi. Minister bułgarski Grekow pojechał do Konstantynopola w celu uwiadomienia sułtana o zamiarach swego rządu.

W ostatnich czasach stwierdzono, że stronnicy rosyjscy, którzy uciekli z Bułgaryi, mają w Serbii bezpieczne schronienie, i że wszelkie kroki o wydanie ich Bułgaryi pozostają bez skutku. Dalej napewne już wiadomo, że wojska serbskie gromadzą się obecnie nad granicą bułgarską w większej niż kiedykolwiek liczbie. W Zofii, stolicy Bułgaryi, mówią, że w razie wojny z Serbią — Rosya obiecała jej pas graniczny ziemi między Widdyniem a Tiną, jako częścią przez Serbów zamieszkały. Wiadomości te jednak nie mącą pokoju w Bułgaryi, której mieszkańcy zajęci pracą około dobrobytu krajowego, mało zajmują się polityką, gdyż wiedzą dobrze, że rząd ich państwa spoczywa w pewnych rękach.

Rumunia. Królowa rumuńska, Elżbieta, która słynie też w świecie jako pisarka i poetka, jest teraz bardzo chora i przebywa na lekach we włoskim kraju. Ma ona przy sobie pannę Wakaresku, tę samą, z którą następca tronu rumuńskiego chciał się żenić. Ożeniłby się on i teraz z nią chętnie, ale nie pozwalają na to król i ministrowie, którzy wolą ożenić swego królewicza z jaką królewną, aby przez takie małżeństwo zjednać nowych przyjaciół dla Rumunii i pomoc na wypadek potrzeby. Królowa jednak trzyma stronę następcy tronu i panienki. Obecnie ministrowie proszą króla, aby małżonce swej nie dał wtrącać się do spraw rządowych, póki panna Wakaresku przy niej pozostaje.

Chiny. Rząd chiński wziął się teraz ostro do poskromienia napadów na chrześcian. Wielu winnych uwięziono, niektórym z nich pościnano głowy. Ale trudno tam będzie rządowi przywrócić porządek, gdyż samo wojsko chińskie często pomaga napadać na chrześcijan, a policya jest niedołężna. Zdarza się, że urzędnicy i policyanci chińscy klękają przed tłumem i tak na kolanach proszą, żeby się uspokoił. Prośby takie jednak mało skutkują.

Rady gospodarskie.

Urządzenie gnojarni.

Do ogólnych jeszcze błędów gospodarzy naszych należy brak starannego pielęgnowania nawozu po wyrzuceniu go ze stajni, i to począwszy od należytego obrania i urządzenia miejsca, na którem składanym być ma, a które nazywamy gnojarnią. Widzimy, niestety, bardzo jeszcze często, że nawóz ten wyrzucanym bywa na kupę lub do byle jakiego dołu przy frontowej stronie domu, często przed samym wchodem do sieni, chociaż to wstrętnem jest dla oka i szkodliwem dla zdrowia ludzi. Od zwyczaju tego koniecznie odstąpić musimy, tak ze względu na potrzebę czystego powietrza w mieszkaniach naszych, jak również dla ochrony nawozu od strat, którym tylko na dobrze urządzonej gnojarni zapobiedz możemy.

Jakież to są warunki dobrego urządzenia gnojarni?

Przedewszystkiem nie powinna ona dozwalać na wsiąkanie gnojówki do ziemi, na której nawóz leży, a co jeszcze ważniejsze, na odpływanie jej do rowów i potoków, co nas przyprawia o utratę najcenniejszej części nawozu; następnie usuwać możność zatapiania gnojowni wodą deszczową; dalej chronić nawóz o ile możności od zbytecznego ogrzewania promieniami słonecznemi; ulatwiać często jego polewanie; nareszcie nie dopuszczać do zbytecznego moknięcia nawozu w gnojówce dla uniknięcia wytwarzania się szkodliwych kwasów.

Ażeby warunkom powyższym uczynić zadość, należy obrać miejsce dla gnojarni na północnej stronie stajni, chroniąc tym sposobem nawóz od zbytecznego ogrzewania promieniami słonecznemi, w którym to celu pożytecznem jest także otoczenie gnojarni drzewami. Nie powinna też znajdować się ona zbyt blisko ściany budynku, ażeby nie spływała do nawozu woda z dachu; odległość zatem od okapu ma wynosić przynajmniej parę metrów.

Przestrzeń, jaką gnojarnia zajmować powinna, zalezy od ilości tego nawozu, który na niej zgromadzić możemy. Najlepszą wskazówką w tym względzie da nam nabyte już poprzednio doświadczenie, pamiętać jednak potrzeba, iż nawóz nie należy układać wyżej jednego metra. Kształt gnojarni powinien być podłużny, ażeby ułatwiał wybieranie nawozu bez potrzeby postępowania kilku kroków dla każdorazowego wrzucenia go widłami na furę, ustświaną zwykle na boku; uježdżanie wozem na środek gnojarni wywagałoby zbytecznego jej rozszerzenia, co w gospodarstwach mniejszych nie jest wcale potrzebnem, a utrudnia wyjazd z miękkiego gnoju.

Jeżeli grunt przeznaczony na gnojarnię, wolnym jest od wody zaskórnej, można pogłębić to miejsce do 50 centymetrów, w celu zmieszczenia większej ilości nawozu, spód zaś i boki dobrze wybrukować kamieniami.

Dno gnojarni powinno być pochyłe ku jednemu miejscu, w którem umieszcza się wymurowaną lub szczelnie wyłożoną drzewem studnię na gnojówkę. W razie trudności dostania kamieni można przy gruncie bardzo nieprzepnszczalnym obejść się bez brukowania, ubijając silnie spód i boki zagłębienia. Boki te muszą być nieco pochyłe, ażeby nie podlegały obrywaniu się.

Na gruntach jednak przepuszczalnych, a szczególnie na piaszczystych, nie trzeba zagłębiać gnojarni, lecz dać na wierzchu pokład gliny lub iłu 12 do 16 cali gruby i ubić go bardzo silnie. Naokoło tego miejsca, szerokiego na 2 metry a długiego podług potrzeby, robią się rowki wybite również gliną, w celu odprowadzania do studni gnojówki, która ścieka z nawozu ułożonego na gnojarni. Nawóz taki wysycha prędzej, aniżeli gdy znajduje się w pogłębieniu, potrzebuje zatem częstszego polewania gnojówką. W razie gdy jej brakuje, można skrapiać nawóz zwykłą wodą, ażeby był ciągle w stanie średnio wilgotnym, chroniącym go od zbytniego ogrzewania się i przepalania.

Przed wszelkim dopływem wody, zdarzającym się szczególnie w czasie silnych i raptownych deszczów, należy chronić gnojarnię, urządzając grobelkę z ziemi od strony położonej wyżej, by tym sposobem nadać wodzie inny kierunek.

Nawóz, układany na takiej gnojarni równo i w jednakowej wszędzie grubości, posypywany często ziemią suchą i polewany gnojówką, przechowa się przez czas dłuższy bez wielkich strat i zasili rolę niewątpliwie lepiej, aniżeli gdy zostawiony jest bez należytej opieki, wyługowany wodą deszczową i pozbawiony gnojówki, stanowiącej jedną z najważniejszych jego części.

Posypywanie nawozu ziemią nie powinno także odbywać się byle jako. Przedewszystkiem ziemia powinna być suchą i skruszoną, czyli miałką, następnie zaś dawać ją należy po każdem ułożeniu nawozu na grubość co najwyżej około $^1/_4$ metra, posypując dosyć cienko i o tyle tylko, by mierzwa nigdzie widoczną nie była. Posypywania grubszego unika się dlatego, ażeby nie pomnażać ciężaru przy wywożeniu gnoju w pole, w każdym jednak razie lepiej jest dać jej nieco za wiele, aniżeli zamało, gdyż jest to najlepszy środek chronienia nawozu od straty części lotnych, które ziemia ta pochłania w siebie. Ziemia mokra nietylko nie pochłania dostatecznie tych części, lecz wytwarza kwaśne gnicie nawozu szkodliwe dla roślin, którym ma służyć za pożywienie, sama zaś zbija się w grudy trudne do rozkruszenia w polu.

Polewanie gnojówką lepiej jest uskuteczniać częściej a miernie, aniżeli rzadko a zbyt silnie, gdyż obfite

polewanie jej powoduje wypłukiwanie mierzwy z właściwego gnoju. Chodzi tu głównie o ciągłe utrzymanie nawozu w stanie średnio wilgotnym, ażeby nie ogrzewał się zbytecznie, w lecie więc można go skrapiać co dziennie lub co drugi dzień, w zimie przynajmniej raz na tydzień.

Tłoczenie nawozu bydłem, dając mu przejście przez gnojarnię lub zakładając tam paszę w dzień pogodny, jest pożytecznem dla nawozu, lecz możebne tylko na gnojarni pogłębionej i zanim nawóz wzniesie się znacznie nad powierzchnię ziemi. Częste przekładanie ziemią uciska mierzwę dostatecznie.

Przyjętem jest już ogólnie zdanie, że po obchodzeniu się z nawozem poznać można dobrego lub niedbalego gospodarza, a ponieważ nawóz stanowi podstawę plonów, od których zawisłym jest dobrobyt rolnika, więc i tutaj zastosować można przysłowie, iż „jak kto dba, tak ma".

A. Lippoman.

NOWINY.

— W Dębowcu pod Jasłem obchodzono jubileusz 50 lat kapłaństwa ks. Jana Kopystyńskiego, pralata i proboszcza Dębowieckiego. Koło 30 księży zjechało się na tę uroczystość, w której wzięli udział okoliczni obywatele i urzędnicy rządowi i autonomiczni. Księża ofiarowali jubilatowi pierścień, który mu pozwolił nosić Najprzewielebniejszy ks. biskup Solecki. Plebania była pięknie przystrojoną, a włościanie wystawili bramy tryumfalne. Podczas nabożeństwa ks. F. Biesiadzki proboszcz z Dydni miał piękne kazanie, w którem podniósł zasługi zacnego jubilata.

— W Bliznem w powiecie brzozowskim obchodził sekundycye ks. Józef Januszkiewicz, proboszcz blizneński od lat 33. Na ten jubileusz kapłaństwa przybyło 40 księży z najprzewielebniejszym ks. biskupem Glazerem. Ojciec św. mianował jubilata swoim szambelanem. Ludność wiejska brała wielki udział w uroczystości, dowodząc przywiązania dla swego duszpasterza.

— Do Krakowa przybył p. Minister sprawiedliwości Schönborn dla przekonania się o stanie sądownictwa. P. Minister wyjeżdża do Galicyi, gdzie również będzie zwiedzał sądy. Spodziewać się należy, że ta podróż p. Ministra wpłynie na poprawę stosunków sądowych w naszym kraju, i że p. Minister postara się o większą liczbę sędziów i o zaprowadzenie koniecznych ulepszeń.

— Rada szkolna krajowa uchwaliła przekształcić szkołę 3 klasową w Ciężkowicach (powiat grybowski) na 4-klasową.

— Wydział krajowy udzielił subwencyi 680 reńskich na budowę drogi z Nowegotargu do Chabówki, dla dróg około Myślenic i Wadowic po 500 reńskich, a Wydziałowi powiatowemu w Tarnobrzegu pożyczkę w kwocie 5000 reńskich na dalszą budowę drogi z Zaleszan do Radomyśla.

— W Nowym Sączu zgorzały budynki mieszkalne i gospodarcze ze wszystkiemi sprzętami i zapasami, będące własnością wójta Chrzanowskiego w Siedlcach. Szkoda wynosi 4000 reńskich a budynki były tylko na 900 zlr. zabezpieczone. Ogień podłożyli Jedrzej Groń i Błażej Ciszek, mszcząc się za to, że wójt wykrył u nich szkodę lasową. Obu pochwycono i wsadzono do więzienia.

— W Wadowicach skazano na śmierć 30-letnią Maryę Botkową za to, iż żywcem spaliła męża swego, z którym przez lat 14 szczęśliwie żyła. Kiedy Botek, przyszedłszy raz pijany ze chrzcin od sąsiadów, położył się w stodole, Botkowa wetknąwszy kłodkę w skobel drzwi do stodoły, włożyła w słomę przez szparę między belkami zaświeconą zapałkę, a odszedłszy następnie do pobliskiego domu, oczekiwała końca swej zbrodni i pozwoliła mężowi, który z płomieni jeszcze: „Maryś — Maryś!" do niej wołał i o ratunek błagał, żywcem się spalić, bo ciało znaleziono później w części zwęglone, w części upieczone.

— *Wystawa pszczelniczo-ogrodnicza we Lwowie.* Zarząd zjednoczonego galicyjskiego Towarzystwa dla ogrodnictwa i pszczelnictwa we Lwowie ponownie przypomina, że w czasie od 26 września do 2 października b. r. ma odbyć się we Lwowie w ogrodzie botanicznym obok gmachu uniwersytetu wystawa pszczelnicza, tudzież ogrodowizn i owoców. P. T. hodowcy, którzy ze swojemi produktami pragnęliby wziąć udział w wystawie, raczą się zglaszać do Sekretarza Towarzystwa p. Stanisława Lachowskiego (Lwów, ulica Poniatowskiego l. 1). Na żądanie wysela się program.

Rozmaitości.

Szczególne uderzenie piorunu. Z Bucza pod Smiglem donosi tamtejszy nauczyciel, p. Kutzner, że dnia 28go lipca b. r. zrana o godzinie 11-ej uderzył piorun w wieżę tamtejszego kościoła katolickiego, nie zapaliwszy jej. Zszedłszy z dachu, przeskoczył piorun do wiatraka, o 200 metrów oddalonego, gdzie trzech ludzi, ukrywających się przed deszczem, powalił na ziemię. Dwóch z nich odzyskało niebawem przytomność, trzeci dopiero po 10 minutach. Następnie przeniósł się ten piorun do drugiego wiatraka, odległego o 400 metrów, gdzie chłopca ze schodów zrzucił. Z tego wiatraka poszedł piorun na podwórze zagrodnika; po drodze zrzucił kosiarzowi czapkę z głowy, obalił go i wydarł mu kosę. Człowiek ten jeszcze jest chory skutkiem tego uderzenia piorunu. Drugiego kosiarza, przechodzącego obok tej zagrody, także powalił o ziemię, czapkę i kosę jego odrzucił na bok o kilka kroków, a kosę nadto skręcił i poparzył kosiarza na lewem uchu. Od tej zagrody przeniósł się piorun o 300 metrów dalej na łąkę i tam się wrył w ziemię, pozostawiwszy po sobie otwór lejkowaty. Od huku zadrżały wszystkie okna we wsi, a wiele z nich popękało. Ognia ten piorun nie wzniecił.

Z nosacizny. Józef Bukowiecki, młody rolnik, ukończywszy świeżo nauki w jednej ze szkół zagranicznych, pojechał na prośby swego krewnego do Piaseczna, w powiecie Warszawskim, obejrzeć parę koni, które tenże krewny chciał kupić. Przy oględzinach jeden z koni parsknął w twarz młodemu rolnikowi, który rozchorował się wkrótce potem i w strasznych cierpieniach życie zakończył. Przyczyną śmierci była nosacizna, którą się nieszczęśliwy młodzieniec od konia zaraził.

Brylantowe wesele. Małżonkowie Dąbrowscy w Warszawie, obchodzili w tych dniach niezwykłą uroczystość, bo 75 tą rocznicę ślubu. Z pomiędzy ośmiorga dzieci, któremi ich Bóg obdarzył, żyje już tylko jedna córka; za to wnuków zebrało się w dniu uroczystym czterdziestu ośmiu, a prawnucząt czternaścioro. Sędziwy małżonek liczący 98 lat wieku, nie podnosi się już z łóżka, ale żona, o cztery lata tylko młodsza, zdrowa jeszcze i krzepka, znajdowała się wraz z całą rodziną na nabożeństwie w tymże samym kościele, gdzie przed 75 laty zaprzysięgła wiarę małżeńską.

Z Niemiec. Chleb w Niemczech i Prusach bardzo drożeje skutkiem nieurodzaju i przez to, że z Rosyi zabroniono wywozić żyto za granicę. W mieście niemieckiem Lipsku 300 piekarzy podwyższyło cenę chleba. Na Szlązku pruskim w Katowicach, ponad granicą Królestwa Polskiego, chleb jest dwa razy droższy niż w Warszawie. Z tego powodu po miastach odbywają się zebrania, żeby zniesiono podatek od zboża zagranicznego; ale rząd nie chce się na to zgodzić.

Wypadek na górze szwajcarskiej Mąblan (czyli Białej), najwyższej z gór w Europie. Jedenastu podróżników wchodziło na tę górę, chcąc koniecznie dostać się na jej wierzchołek. Wtem zaczął padać deszcz, potem nastała ulewa, a jednocześnie poczęły się obsuwać wielkie bryły śniegu. Trzeba bowiem wiedzieć, że szczyt tej góry wiecznie jest pokryty lodem i śniegiem. Podróżni, idąc gęsiego, jeden za drugim, wszyscy poprzywiązywali się do jednego długiego powrozu, aby w ten sposób powstrzymywać się od upadku ze spadzistości. Tak zaczęli schodzić na dół. Aż tu nagle ogromna bryła śniegu uderzyła w idących na końcu, to jest najwyżej, i zwaliła ich na idących przodem. Wtedy wszyscy wędrownicy znaleźli się w kupie i pod ciężarem jedenastu ludzi rozwarł się dół w śniegu, po którym przechodzili. Dwóch pierwszych wpadło w tę przepaść i trzeci już leciał za nimi, lecz nagle powróz pęka. Skutkiem tego dziewięciu ludzi pozostało na powierzchni śniegu i ci ocaleli. Owi zaś dwaj znikli w przepaści i natychmiast zasypał ich śnieg tak głęboko, że nie można było myśleć o ratunku.

Jak zły duch wodził i dokąd doprowadził. Dwaj włościanie. Jan Styrowski i Marcin Biu, wracali pewnej soboty wieczorem z sądu wiejskiego w gminie kamieńskiej w pow. sokólskim w Królestwie Polskim. Noc była ciemna, a przytem musieli obaj mieć i w czubku, więc zbłądzili. Włóczyli się długo po jakichś łąkach, bagnach i rolach, nie mogąc znaleźć drogi. Zniecierpliwieni powiadają jeden do drugiego, że to nie inaczej, tylko zły duch ich wodzi. Nareszcie wszedłszy na jakiś wzgórek, natknęli się na wielki kamień i na jakąś przy nim postać ludzką.

— A! to ty, niegodziwcze! — zawołali, — takeś nas już wymęczył!

I dawaj znęcać się nad ową postacią ludzką.

A tu rozległ się jęk ze słowami:

— To ja, Helena!

— Znamy cię, przeklęty szatanie! — odrzekli i biją znowu.

Nieszczęśliwa żegna się i zaczyna mówić pacierze, polecając swą duszę Bogu.

A oni na to:

— W dzisiejszych czasach i djabeł pacierze mówi, jak się chce uwolnić od biedy. Ale już ty nie będziesz więcej ludzi włóczył po nocy.

To mówiąc, połamali kobiecie ręce i nogi, a na reszcie położyli jej głowę na kamieniu i rozbili na kawałki.

Działo się to na wzgórzu zwanym Borsuk. Ztąd przyjaciele trafili jakoś do domu. W niedzielę rano zaczęli opowiadać sąsiadom, jak im się udało djabła zabić. Aż tu niezadługo zabierają tych ichmościów do miasta, do więzienia. Odbył się nad nimi sąd i skazano obu na pozbawienie wszelkich praw i na ciężkie roboty. Pokazało się bowiem, że zabili ubogą kobietę, która mając wzrok słaby, nie mogła wśród ciemności dojść do wsi, więc nocowała przy owym kamieniu.

Jana i Marcina naprawdę zły duch wodził i doprowadził aż do takiej okropnej zbrodni. Ale to ten zły duch, co go rodzi ciemnota duszy ludzkiej, jak się z gorzałką pobierze.

Aby mieć wosk biały, należy przy podrzynaniu plastrów odpowiednio postępować, bacząc aby stare, zczerniałe, nie mięszały się ze świeżemi. Najlepszym sposobem oddzielania wosku od miodu jest wytrząsanie plastrów zapomocą kręcącej się maszynki, zwanej miodarką lub centrfugą. W maszynce tej wszystek miód z plastrów wytryska i ścieka. Aby ciemny wosk oczyścić, należy go wrzucić do naczynia z wodą i postawić na ogniu. Gdy się woda zagotuje, wosk się rozpuści, a niepotrzebne domieszki opadną na dno. Po zdjęciu z ognia wosk czysty zastygnie na powierzchni wody i zdjąć go bardzo łatwo. Do wody, w której wosk się ma na ogniu rozpuścić, można też dodać pewną ilość kwasu siarczanego, to ten śmiecie z wosku wyżre.

Fraszki.

Do fotografa przychodzi kobieta i mówi:

— Czyby pan nie mógł mi zrobić fotografii zmarłego męża?

— Chętnie, zapewne posiadasz pani jaki portret męża?

— Tego nie — odpowiada kobieta — ale mam z sobą jego paszport.

Lokator wypada z krzykiem: Cóż to za mieszkanie pan mi wynająłeś! W piwnicy pełno wody!

Gospodarz: A czy paneś się spodziewał wina?

Przy piwku.

Pan Jacenty: Cóż tu słychać mój Jankielku?

Jankiel: Kiepsko, panie, tylko mi po trzy beczułki piwa dziennie odchodzi.

P. Jacenty: Na to dam ci doskonałą radę.

Jankiel: Ny! a jaką?

P. Jacenty: Dolewaj zawsze kufelki do pełności, to ci zaraz więcej beczułek piwa wyjdzie.

Jankiel: Pan ma wielką mądrość, jak widzę. A teraz niech się też pan mnie o co zapyta.

P. Jacenty: I owszem! Powiedz mi Jankielku, czego ja tak od niejakiego czasu tyję, a ty chudniesz widocznie?

Jankiel: Dlaczego Pan Jacenty tyje, to ja nie wiem, ale dlaczego ja chudnę, to wiem; bo ja z psieproszeniem pana, co zarobię, to nie chowam do brzucha, a przez to i brzuch mi nie rośnie.

W restauracyi.

Gość: Kelner! Ja tej zupy jeść nie mogę!

Kelner: Dobrze, proszę pana, zaraz odmienię.

Zabiera zupę i przynosi inną. — Po chwili.

Gość: Kelner! Ja tej zupy jeść nie mogę!

Zjawia się gospodarz rozgniewany:

— Co Pan sobie upatrzyłeś do tej zupy? Dlaczego jej nie możesz jeść?

Gość: Nie mogę, bo nie mam łyżki.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 4 września.

Płacono za pszenicę białą od 11.25 do 11.85 złr., za czerwoną od 11.— do 11.60 złr., za żółtą od 10.75 do 11.50 złr.; za żyto od 10.— do 10.40 złr.; za jęczmień browarny od 8.— do 9.— złr.; na paszę od 7.25 do 7.80 złr.; za owies od 6.25 do 6.50 złr.; Rzepak od —.— do —.—. Wszystko za 100 kilogramów.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zajerestrowanej z ograniczoną poręką".

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.